PISEMKO KUŹNICZANEK

MIESIĘCZNIK

Nr. III. Prenum. roczna 5 zł. Marzec 1929. Rok IX.

Chrystus na krzyżu.

Wisi nagi i ogołocony ze wszystkiego. Św. Paweł pisząc do Koryntjan w sprawie składki, którą zbierał dla chrześcijan będących w Jerozolimie, mówi im: „Pamiętajcie o Tym, który dla was stał się ubogim będąc bogatym".

Św. Paweł myślał o chwale bóstwa Chrystusowego, z którego się Chrystus ogołocił, aby się przyoblec w naszą nędzę.

Mało ludzi przyszło na świat w takich warunkach, w jakich się Chrystus urodził, dla którego nie było miejsca w gospodzie i tylko w stajence znalazł schronienie.

Mało komu przypadło to w udziale. Chrystus tego dla siebie chciał. On nigdy nie miał stałego miejsca pobytu.

Z Betlejem musiał uciekać do Egiptu; wprawdzie spędza lata całe w Nazarecie, ale nastaje czas, że je porzuca dla życia apostolskiego, z całym niedostatkiem, jakie ono za zobą pociąga. „Syn człowieczy nie ma gdzieby głowę skłonil" (Mat. VIII. 20). Przechodzi z miejsca na miejsce, czasem nie ma nic do jedzenia, apostołowie zbierają kłosy z pola; to było istotne ubóstwo.

Życie apostolskie Chr. kończy się zupełnem ogołoceniem. On Galilejczyk, opuszcza Galileję, którą przecież kocha, i udaje się do Jerozolimy, aby tam umrzeć na krzyżu. Zdzierają z niego odzienie, ono z prawa należy się katom. Po śmierci chowają Go nie we własnym, ale w cudzym grobie.

Czytamy w ewangelji św. Marka coś bardzo wzruszającego: „I Piłat darował ciało Chrystusowe Józefowi" (Marek XV. w. 45). Nawet ciało Jezusowe jako skazańca było własnością Państwa.

Oto są ogołocenia zewnętrzne Chr. P. Zastanówmy się teraz nad tajemnicą Jego ogołoceń wewnętrznych: jego myśli, uczuć, serca. Przyszedł, by głosić ewangelję ubogim w najszerszem znaczeniu tego sło-

wa, wszystkim, którzy Go potrzebowali, ale w szczególności ogołoconym z dóbr tego świata. Ubodzy i grzesznicy to Jego przyjaciele. Przyszedł by głosić ubóstwo i uświęcić je, by oznajmić, że ubóstwo jest prawdziwem bogactwem, bo nam daje opanowanie siebie, bo nas doskonali, bo nas uświęca.

Ubóstwo daje nam posiadanie całego świata i zapewnia szczęście wieczne, ale ci, co mają bogactwa, a raczej których bogactwo wzięło w posiadanie, tracą rzeczy niewidzialne, przybytki wieczne i Ojca, który jest w niebiesiech.

Szukajmy jaką jest myśl Jezusa w Jego ogołoceniu.

Przyszedł, aby się stać podobnym braciom swoim i to tym najmniejszym. Zdawałoby się pozornie, że celem Jego pokuta, a tymczasem tajemnicą życia Chrystusowego — to miłość.

Ponieważ ubóstwo uważane jest za nieszczęście, On przychodzi dzielić to nieszczęście, przychodzi, by dźwigać na sobie nasze boleści. Ile razy spotyka się z cierpieniem, łączył się z tem cierpieniem, ile razy spotykał jakąś boleść, przejmuje się tą boleścią.

Jedna dusza niedostępna jest dla drugiej duszy i tak: mężczyzna nie jest w stanie odczuwać radości i boleści macierzyństwa; prosty chrześcijanin nie jest w stanie przeżywać cierpień i radości kapłana, radości jaką daje odprawianie Mszy św., udzielanie rozgrzeszenia, komunja kapłańska. Ale Jezus obejmuje ludzkość całą, On odczuwa wszelką radość i wszelką boleść.

Być biednym, znaczy stać u źródła upokorzeń. P. Jezus chce znosić te cierpienia, te upokorzenia. Wisząc nagi na krzyżu, chce swojem ubóstwem znieść zamiłowanie bogactw, znieść nadużycia, jakich bogactwo staje się powodem.

Widok krzyża wielką jest dla nas nauką. Chr. przybity do krzyża uczy nas, że każdy człowiek na świecie musi być przybitym do swego obowiązku, do swego posłannictwa. Ogołocenie Chr. na krzyżu mówi nam, że przyszedł przez ubóstwo uczynić człowieka wolnym, panem siebie samego, obdarzyć go wolnością wewnętrzną.

Chrześcijanin przy chrzcie św. wyrzeka się świata, a przyobleka się w Chrystusa Pana.

Patrzmy często na krzyż, zastanawiajmy się nad tajemnicą krzyża, zwłaszcza, kiedy nam przychodzi z czegoś się ogołocić. Czyż nie codziennie czegoś nam się wyrzec wypada? Pozwólmy się ogołacać na wzór Chrystusa, korzystajmy z każdej do tego sposobności, bo ogołocenie będzie naszem wyzwoleniem; tego wymaga godność człowieka, a zwłaszcza, godność chrześcijanina, którego prawem jest ewangelja, a wzorem Chrystus. Chrześcijanka powinna myśleć, czuć, kochać tak jak Chrystus, a to pociąga za sobą zaparcie się siebie samego, bo zaparcie się wyzwala dusze przywiązane do świata i które w nim giną.

(Z konferencji O. Brillet).

Z Życia P. Jenerałowej (mężątka) 40.

Pobyt w Bukareszcie właśnie na nauczenie mnie tego właściwego miejsca posłużył. Lepiej zrozumiałam jego myśli, zapatrywania, działanie; wiele większy we wszystkiem brałam udział. A co więcej, pobyt w Stambule i Jenikieni, taki mi niesmak po sobie zostawiły, że czułam się pod skrzydłem mego męża jak w bezpiecznem schronieniu. Cieszyłam się i wdzięczną mu byłam, że mnie nie skazuje na zostanie się w Bukareszcie i że nie uważa, ażeby Szumla była dla mnie miejscem niemożebnem.

Mój mąż pojechał naprzód, a myśmy miały za nim podążyć w kilka dni. Tymczasem jak on dojechał do Giorgiewa, kry na Dunaju nie pozwalały się przez rzekę przeprawić. Więc jakeśmy dojechały do Giorgiewa, tośmy go tam zastały na moją niezmierną radość.

Ulokowaliśmy się w jakimś domku o dwóch pokojach; P-a Birt i ja w jednym, a mój mąż w drugim, który nam zarazem służył za salon i jadalnię. Dunaj roztajał, to znowu marzł i ani łódką, ani powozem nie można się było przeprawić. Codzień mimo śniegu, wiatru, ślizgawicy, mrozu, jeździliśmy konno. Zdawało mi się czasem, że mi ręce i nogi od zimna odpadną.

Skoro tylko mróz mocniej brał, jechaliśmy na Dunaj, żeby się przekonać czy nas uniesie. Konie się po lodzie ślizgały, a lód pod nogami trzaskał. Pewna byłam, że się którego dnia z końmi utopimy.

Razu jednego widząc że dobrze zamarzło, puściliśmy się przez maleńką odnogę Dunaju na wyspę, która się tam znajduje. Raptem kazał mi się mój mąż cofnąć; w krzakach leżały trupy poległych kozaków moskiewskich!

Trzy tygodnie trwał pobyt w Giorgiewie. Nareszcie przeprawiliśmy się łodziami mimo kry. Na drugim brzegu w Ruszczuku, mój mąż musiał się zatrzymać, z powodu mnóstwa polskich ochotników, którzy tam na niego czekali, a myśmy pojechały dalej do Szumli, do owego najwspanialszego domu.

Dom był w istocie wcale ładny; ale w Turcji każden bogatszy właściciel ma dwa domy, jeden letni i jeden zimowy. Jak mu przyszlą kogo na kwaterunek, to oczywiście nie daje domu w którym mieszka, ale ten, który pustką stoi.

Tak się stało i teraz, ów śliczny dom był letnim pałacykiem jakiegoś Baszy, a tak jak przepowiedział X^re^ Ghika, brudny i pusty po wojskowych załogach.

W dzień naszego przyjazdu w styczniu, czas był śliczny jesienny. P Birt zachwycona pięknością widoku; Szumla ze swojemi meczetami, zamknięta w ciasnym wąwozie Bałkanów, z mieszaną ludnością nawpół turecką, a nawpół Bułgarską, niezmiernie jest malowniczą, to też zajechałyśmy do naszego pałacu z najlepszą fantazją.

Na dole kuchnia z niezłym kominem i jakieś pokoje dla służby; na piętrze duża sala o 11 oknach i trzy inne pokoje; całe umeblowanie tego piętra składało się z szerokich ławek wzdłuż okien, na których Bułgarzy kładą materace, a na nich na nogach siedzą. Taki materac był w owej dużej sali słomą nabity i twardy jak deska, a o wiele mniej równy. Były też dwa stoły; jeden przeznaczyliśmy na stół do jedzenia, drugi na biuro dla mego męża. Mieliśmy też trzy stołki drewniane, jeden od osoby. Mój mąż miał żelazne krzesło obozowe, które można było rozciągnąć na łóżko, ale to się przy nim zostało. Szczęściem mieliśmy materac i całą pościel na jedną osobę, można więc było P. Birt łóżko na ziemi posłać. Ja sobie prześcieradło rozciągnęłam na ławce pod oknami, o poduszce i o kołdrach nie było mowy. Jan Cholewa naparzył nam herbaty, dzięki garnkom Xsięcia

Ghiki, dojedliśmy jakieś okruchy chleba z Bukaresztu i poszłyśmy spać. Znowu siedzenie z powozu służyło mi za poduszkę, a jakiś nędzny kusy płaszczyk, który mi w Bukareszcie podszyto na drugę śmierdzącemi lisami, służył mi za kołdrę od szyi do kolan, a P. Birt płaszczyk przykrywał mi nogi.

W nocy okropnie mi było zimno, a że jeden płaszczyk ciągle ściągałam sobie pod szyję, a drugi nogami ciągle na dół, na tem się skończyło, że na kolanach nie miałam nic.

W nocy zimno straszne, nareszcie macając po omacku spostrzegłam, że leżę pod oknem z wybitą szybą i że śnieg na mnie pada.

Nazajutrz rano P. Birt budzi się z okropną migreną i nie może wstać, a ja się zaczynam rozglądać po naszem gospodarstwie. Jan znowu parzy herbatę, ale ten raz już i chleba nie było. Znalazły się jakieś gliniane miski do mycia się i kilka gwoździ, któreśmy w ścianę wbiły do zawieszania rzeczy naszych, ażeby ich nie kłaść na brudnej podłodze.

Na całem piętrze nie było ani jednego pieca; nie znałyśmy tureckich mangałow, w których Turcy ogień rozniecają z drewnianych węgli i z pokoju do pokoju przenoszą. Okna były pojedyncze, źle się zamykały, dużo wytłuczonych szyb. Drzwi bez zamków, gwoździe powbijałam jeden w drzwi, drugi w odrzwi i szpagatem wiązałam. Zimno, głód i zmęczenie straszliwie mi dokuczały; myślałam sobie, że to nie do wytrzymania, że chyba ucieknę. Ale dokąd? Do rodziców? A co mi Mama powie, jak zapyta co mnie sprowadza? Jak się z tego tłumaczyć będę Mamie, która taka dla siebie twarda, która nie zrozumie takiej małoduszności.

Przypomniało mi się, jak nas P. Birt odjeżdżała do Anglji razu jednego, kiedy ja jeszcze dzieckiem byłam, płakałam okropnie i pytałam, co ja bez niej pocznę, jak mnie będzie co bolało, a nikt mnie na kolana nie weźmie „moi qui suis si douliette“.

Zawsze to samo pomyślałam sobie; P. Birt nie wymyśla, Jan nie wymyśla, tylko ja nie mogę znieść najmniejszej niedogodności. Jak wszyscy koło mnie skaczą, ażeby mi dogodzić, to umiem być mętną, ale jak muszę sama o sobie i o drugich radzić, to mi skrzydła opadają i jestem do niczego; na co głowa, na co ręce, na co nauka

tureckiego języka, jeżeli na nic mi służyć nie mogą? O co mi chodzi? Zimno, głód, brud, zmęczenie, brak mebli i sprzętów, brak usługi. Ale inni takie rzeczy i gorsze przeszli „co człowiek potrafi to i Augustyn zdoła“.

Te słowa na wywrót zrozumiane przez pierwszą połowę życia, były mi bodźcem do pracy. A sprawiedliwie zrozumiane, przez drugą połowę życia uczyły mnie pokory i nieufania sobie.

Powiedziałam Janowi, że między Polakami, którzy wędrowali po wszystkich miastach tureckich, pewno znajdzie się jakiś kucharz.

W istocie wnet się jakiś człowiek nawinął, podając się za kucharza. Radzimy o obiedzie. O chlebie nie było co radzić, bo w Szumli nie było piekarza i nikt też chleba nie znał i nie jadł, tylko jakieś andruty, które każden sam dla siebie, we własnej kuchni piekł. O mleku też nie było mowy. Masło świeże sprowadzone było w bawolich skórach z Ameryki, takie okropne, że nasz łój do smarowania kół, chyba mniej wstrętny, a przynajmniej nie bardziej. — Ziemniaków, jarzyn, nikt ani znał. A więc uradziliśmy, że będą na obiad bite kotlety, takie mi kucharz doradził, z ryżem. Chodziło tylko o to, żeby się pospieszył, bo znalezienie mięsa było bardzo problematyczne, a głód bardzo dotkliwy, a im dotkliwszy głód, przy zupełnym braku chleba, tem dotkliwsze zimno, przy braku kominków i pieców ze śniegiem dokoła.

Nie mam o tem wyraźnego wspomnienia, ale domyślam się, że musiałam się chyba dużo modlić, ażeby to znieść, a raczej nic nie modliłam się tego pierwszego dnia i dlatego mi był tak trudnym; bo tak jak w Stambule za przyjazdem, tak i tu, po nawymyślaniu się do syta przez pierwszy dzień, wewnętrznie, wnet odzyskałam równowagę i na nic już nie narzekałam.

Przyszło nareszcie to pożądane śniadanie. Jan nakrył nasz stół jadalny, ile się dało najprzyzwoiciej, przystawił mi stołek jeden, tamte dwa służyły za bufet. P. Birt wołać nie mogła, migrena jej służyła za obiad. Na materacu i pod kołdrą mniej może zimno czuła odemnie, na nic się nie skarżyła, mówiąc, że się doczekać nie może chwili, kiedy będzie mogła widoki oglądać i malować.

Zasiadam do stołu, Jan podaje, głodna jak chart, zabieram się do kotleta, trochę mi dziwnie pod nożem zgrzytał, ale nie byłam w usposobieniu wymyślania na żadną rzecz, która się pod ząb włożyć dała. Nie wiem czy nasz inprowizowany kucharz był ze szkoły św. Benedykta i czy miał na celu umartwianie nieumiarkowanej chęci objadowania, ale dość, że jak wzięłam kawałek kotleta „bitego" do ust, wydało mi się, że ugryzłam pęk szpilek. Nasz kucharz ubił mięso z kośćmi tak, że mięso było naszpikowane kośćmi drobnemi jakby igłami. Trzeba było ten specjał odesłać i zaspokoić się ryżem na łoju.

Nie mając żadnych mebli i zmuszona kłaść rzeczy na ziemi, prawie więcej cierpiałam na tem, że posadzki brudne, niż nad czem innem. Postanowiłam je szorować; zabrałam się tak energicznie do pracy, że się dostatecznie rozgrzałam.

Byłam nieraz widziała jak się posadzki szoruje i widziałam mniej więcej na czem to zależy. Ale tu nowa niespodzianka nas czekała; w podłodze były ogromne szpary, a woda która się do szpar dostała, zamarzła, tak, żeśmy się po niej przewracały jak na ślizgawicy. Nie było nadziei ażeby lód stajał nim na dworze mróz ustąpi. Szczęściem miałyśmy żelazka; posłałam do bazaru po bibułę i z Janem prasowaliśmy podłogę, póki nie odtajała i nie uschła.

Od dawnych uczenic.

Jedna z nich pisze do nas: Już pogodziłam się z losem, bo widzę, że cierpienie jest od kolebki do grobu moim udziałem. Chcę w ogniu cierpienia oczyścić swą duszę, u stóp krzyża i tabernakulum czerpać moc i siłę na dalszą drogę życia.

Wiara, ufność dotąd mnie trzyma i ta łaska darmo dana od Boga, spędzenia kilku lat w Zakładzie, który w młodym wieku wyrył niezatarte piętno w duszy. Dał możność poznania życia, drogi prawej, zahartował mą duszę i uczynił odporną do życia w świecie. Gdybym nie znała Zakładu, chyba nie potrafiłabym dać radę, w niejednem położeniu brakłoby mi wytrwałości. Tam zrozumiałam co znaczy być chwiejną lub stałą...

Inna uczenica, którą usunięto z posady, którą zajmowała jako kierowniczka instytucji wychowawczej, pisze: Sądziłam, że będę do

śmierci ze swemi dzieciakami, tymczasem stało się inaczej: czasami zastanawiam się i myślę, że może źle zrobiłam, że nie zapisałam się do związku P. P. S. bo wtedy siedziałabym pewnie, ale kiedy duch, przekonania, nie pozwoliły mi na to, a znów postępować inaczej, a udawać i myśleć inaczej nie mogłam, to było ponad moje siły.

Często myślą biegnę ku zakładowi i proszę Boga, aby mi pozwolił doczekać i dał możność być na zjeździe, który ma być za rok t. j. w 30 r. a pewnie będzie to już ostatnia moja bytność w tym kochanym, drogim kąciku, z którego tyle się wyniosło i który nauczył żyć i pracować. Gdy wychodząc zbierałam owoce swej pracy z serc dzieci, myślą biegłam do Zakładu, a wieczorem dziękowałam Bogu i P. Jenerałowej, że Jeden skierował, druga nauczyła mnie jaką trzeba być.

Inna znów pisze: Artykulik pani Z. A. B. w Pisemku październikowem 28 r. przemówił do mojej zbolałej duszy; jak wdzięczna jestem za każde słowo i zdanie godne uwagi i zastanowienia.

Zdawałoby się, że każda kuźniczanka o tem wie i potrafi zgodzić się z wolą Bożą, gdyż miała sposobność ćwiczyć się w tych małych rzeczach tam w szkole, umie przygotować się na ofiarę dla Boga. Ale jeśli Bóg zażąda ofiary i ofiary nie przez nią wybranej? O jakże ciężko pogodzić się z wolą Bożą! Staje się wtedy niedołężną, słabą, upadającą pod krzyżykiem straty drogiej osoby. I jeśli nie ocknie się, nie zwróci myśli do Boga, może ponieść większą stratę zapominając o duszy swej i jej przeznaczeniu. „Trzeba zrozumieć przyczynę i wypełnić cel, a odejdzie ból".

Czasem bodziec słówka podnosi ducha, odnawia zrozumienie woli Bożej, zamiary Stwórcy i przestajemy być niedołężnemi, bezsilnemi na duchu.

Pokrzepiły mnie słowa te, nie wiem dlaczego? Przecież wiedziałam o tem, czytałam, a jednak... A może dlatego, że to w naszem „Pisemku" i Kuźniczanka pisała. Dziękuję bardzo.

Miło jest też dowiedzieć się z Pisemka o życiu i pracy koleżanek, a może i współpracowniczek na przyszłość. Szczęść Boże tym, które wyszły ze szkoły i zaczynają samodzielnie pracować. Bardzo

przyjemnie jest spotkać się z Kuźniczanką; o jakże dużo jest do pomówienia, jakie zrozumienie...

Jedna z naszych uczenic P. M. Rykałówna, która dostała posadę od koła Ziemianek jako instruktorka do prowadzenia kilkutygodniowego kursu kroju na wsi, opisuje swoje wrażenia z podróży i ze swego pobytu na Podlasiu.

Czyż marzyłam kiedykolwiek, że będę na Podlasiu? nie, nigdy!

Podróż moja dobrze się odbyła. Jadąc od stacji furmanką przyglądałam się okolicy. Wioski są bardzo małe, jedna od drugiej dosyć daleko, domy stawiane są jeden obok drugiego, pola ciągną się daleko poza wieś, gospodarstwa są duże; teraz właśnie przeprowadzona jest komasacja gruntów, z której ludzie są zupełnie zadowoleni.

Każdy z gospodarzy posiada wszystkie maszyny rolnicze, tak jak w Małopolsce po dworach. Kultura tutaj rozwinięta jest dobrze, znacznie wyżej stoi niżeli w Małopolsce. Bardzo dużo młodzieży kształci się w wyższych szkołach i szkołach rolniczych.

Ludność tutejsza należy do dawnej szlachty, jeszcze i teraz wyróżniają kto był szlachcicem. Dworów jest też dosyć dużo, właściciele mają nazwiska czysto polskie.

Ludność ubiera się bardzo dobrze; kobiety w sukienkach, płaszczach, część w kapeluszach, a część w szalach, chustkach. Teraz w zimie to wszyscy ubierają się w kożuchy, tak kobiety jak mężczyzni, długie czerwone nie pokryte niczem z własnych owiec. Prócz takiego czerwonego kożucha, każdy posiada jeszcze jeden bardzo długi, bo tutaj jest okropnie zimno, teraz jeszcze śniegu niema a jest nie do wytrzymania. Śmieją się ze mnie, że przyjechałam z ciepłych krajów, bo lekko dosyć chodzę ubrana, całe szczęście, że posiadam jeszcze kożuch choć krótki.

Po moim przyjeździe zebrało się parę dziewcząt; przedtem podobno było dużo chętnych, a jak przyjechałam to znalazło się na początek zaledwie sześć, całe dwa tygodnie się zbierały i teraz mam ich 15. Wszystkie są dorosłe, bardzo miłe, jedne starsze ode mnie, inne młodsze, na ogół przystojne.

Mieszkam w jednym domu nowym u pani Slępkowskiej, staruszki, ma ona tylko wychowanicę, bo córek nie miała tylko synów i służącego poza tem nikt tutaj nie mieszka. Dom duży jest, kuchnia, przedpokój, sypialnia, jadalnia, pokój, który ja teraz zajmuję, salon niewykończony jeszcze i tam właśnie mamy swoją szkołę. Trochę nam ciasno, ale jakoś tam jest. Mój pokoik jest bardzo ładny, dużo w nim kwiatow kwitnących jest i radjo.

Pani tego domu szalenie mnie lubi, już teraz mówi, że wcale nie wyobraża sobie, jak to będzie jak ja wyjadę.

Uczenice też mnie lubią i nawet są zadowolone, bo myślały, że przyjedzie jakaś stara osoba.

Szkoła nasza licho się przedstawia; maszyn jest ośm, mamy teraz i tablicę, bo zaczęłyśmy na stole rysować. Najgorzej idzie nauka kroju, wygląda on w zeszytach niżej wszelkiej krytyki, z wyjątkiem kilku.

Trzeba jedno i to samo tłumaczyć po kilka razy, muszę się namęczyć nad rysunkami. Szycia też dobrego nie mamy, uczenice chcą tylko płaszcze sobie przerabiać, to kożuchy pokrywać i t. p. Nie mogę nadążyć pokazywać, stąd dużo czasu tracą, a jak czego nie dopilnuję, to zepsują i zabierają do domu wcale nie pokazując. Mam trudny orzech do zgryzienia z tą nauką. Mam też trudności co do porządku, muszę naznaczać kto ma palić w piecu, kto ma sprzątać, bo jak nie naznaczę, żadna się do tego nie zabiera, stąd nieraz tracimy dużo czasu. Mamy sklep blisko, kościół też jest bardzo blisko. Mało mam ruchu choć cały dzień jestem na nogach. Czasem przeszłabym się gdzie, ale wieczorem ciemno i błoto, w południe mam tylko jedną godzinę wolną, bo drugą ofiarowałam uczenicom, one muszą odchodzić wcześniej; niektóre mają daleko, schodzą się z kilku okolicznych wiosek. Dla siebie czasu nic a nic nie mam, brak mi też materjału do szycia, bo do miasta daleko, a najgorzej to już z pisaniem listów.

Wiadomości.

Wszechświatowa grypa i nas nie ominęła. Były dnie, że leżało po 20 osób. Aptekarki uwijały się z tacami, gorącemi bańkami, kom-

presami i t. p. Lekarz przyjeżdżał od czasu do czasu badać chore, kazał je trzymać ciepło w łóżku czas jakiś, choć temperatura opadła, nie wychodzić z pokoju, choć wstawać zaczęły i dzięki zapewne tym staraniom, grypa przechodziła u nas bez komplikacji i żadnych złych skutków po sobie nie zostawiła.

Kiedy mrozy nie były zbyt silne, uczenicze nasze jeździły na krótkie wycieczki saniami, zwiedziły muzeum tatrzańskie; zajmujących objaśnień udzieliła im pracująca tam p. Domaniecka, która daje lekcje przyrody naszym instruktorkom.

Chór złożony przeważnie z górali i góralek, wyćwiczony przez p. Mistrzyka, organistę z Zakopanego, dał koncert w szwalni śpiewając pastorałki. Chór ten wybiera się z występami na wystawie poznańskiej.

Urozmaicono dwa wieczory obrazami świetlnemi, które dały poznać widzom Warszawę, Lisków, wyprawę Nansena pod biegun północny i t. p.

Ważnym wypadkiem w życiu Zakładowem, była bytność u nas prezydenta Mościckiego z żoną. Panna Zamoyska przyjechała umyślnie, aby ich móc przyjąć.

Prezydent przybył do nas w godzinach południowych, koło 1-szej czy też pół do 2-giej Uczenice zebrane na korytarzu zawołały kiedy wchodził „Niech żyje".

W szwalni odpowiednio przybranej zasiadł na fotelu, p. Zamoyska przemówiła kilka słów głosem wzruszonym, jak miło tym, tak długo prześladowanym przez rządy zaborcze, witać przedstawiciela kraju, który dziś stał się wolnym i niezależnym. Jedna z uczenic podała bukiet świeżych kwiatów z krótkiem przemówieniem. Chór uczenic odśpiewał pieśń powitalną poczem p. Prezydent i żona jego dopytywali się o Zakład; p. Zamoyska z Przełożoną oprowadziła ich po niektórych zajęciach i podano obiad, do którego zasiedli: p. Zamoyska, Przełożona i panie zakładowe. Oprócz naszego kapelana, przybył też proboszcz z Zakopanego ks. dziekan Tobolak, aby wziąć udział w przyjęciu Prezydenta.

Wkrótce po czarnej kawie, którą podano w saloniku, p. Prezydent z żoną pojechał do Zakopanego.

Ostatki spędzono bardzo wesoło. W poniedziałek tańczono, między tańczącemi były grupy kostjumowe, które wykonały taniec mgieł i hucznego mazura.

We wtorek przedstawiono bajkę „Róża zaczarowana", „Dziad i baba" i fragment z Balladyny.

W środę popielcową rozpoczęły się wieczorem rekolekcje błogosławieństwem i nauką wstępną. Głosił je O. Jarosz jezuita i wywarł na niektórych duszach głębokie wrażenie. Mówił o rzeczach zasadniczych jak: O „celu człowieka", o „Przykazaniach Bożych" ich znaczeniu społecznem i rodzinnem, „O spowiedzi", o naszej odpowiedzialności przed Bogiem i „O grzechu". Umiał trafić do ogółu serc i umysłów.

Na niedzielę Palmową ma przybyć do nas O. Brillet oratorjanin i zabawi do niedzieli Przewodniej. Jego pobyt przynosi zawsze dużo pożytku dla Zakładu.

Odwiedziła nas dawna mile bardzo wspominana uczenica p. Janina Walewska, która wróciła do zniszczonego majątku rodzinnego na Wołyniu i pracuje nad jego podźwignięciem i zagospodarowaniem.

Śluby.

D. 11 lutego o 17 g. odbył się w Katowicach w kościele Św. Piotra i Pawła ślub p. Bronisławy Klonowskiej z p. Janem Kellerem porucznikiem 73 p. p.

P. Jadwiga Spodenkiewicz wyszła za p. Henryka Spodenkiewicza, ślub ich odbył się w Łodzi d. 6 stycznia 1929 r.

Intencja.

Modlitwa o nawrócenie bezwyznaniowych i innowierców.

Praktyka.

Przyjmowanie wszelkich przykrości w duchu pokuty.

Wydawca: Zakład Kórnicki — Szkoła domowej pracy kobiet w Zakopanem
Redaktorka: Aniela Strawińska — Zakopane-Kuźnice.

Z Drukarni Towarzystwa św. Michała Archanioła w Miejscu-Piastowem.